



GAZETA NAGRODY
LITERACKIEJ
GDYNIA

ISSN 2080-7789

DODATEK

LITERACKI
NR 17 (18)
2017

LIONEL TRILLING, nowojorski intelektualista i jeden z największych krytyków literackich wszech czasów, powiedział, że kultura liberalna jest w stanie trwać – i przetrwać – tylko wtedy, gdy ocali literaturę. Wszystkie inne instytucje, prawnopolitycznobyyczajowe, są narażone na gwałtowne zmiany, ale tym, co społeczeństwu liberalnej demokracji gwarantuje długie trwanie, jest ta dziwna instytucja zwana literaturą. Dziwna, bo z pozoru w ogóle instytucją nie jest: wydaje się zbiorowiskiem pojedynczych głosów, z których każdy pragnie wyrazić swoją indywidualność i przekuć ją na swój własny, niepodrabialny idiom. Ale tylko z pozoru: w istocie te jednostki, piszące na swój własny sposób, dają społeczeństwu oddech wolności, do której polityka nawet nie potrafi się zbliżyć. Żadna rewolucja, żaden zbiorowy poryw nie są w stanie dostarczyć tego doskonałego stopnia swobody, którym rozkoszuje się udana twórczość literacka.

Jak co roku, jury Nagrody Literackiej Gdynia zadbało o to, by laur uzyskały głosy literacko najbardziej suwerenne: wolne i wolność ubezpieczające. W kategorii „Esej” zwyciężył Krzysztof Siwczyk z pięknie wydany tomem „Koło miejsca”: opowieścią o dzieciństwie i poetyckim dojrzewaniu. W tej historii Bildung rolę kształtującą odgrywa właśnie tytułowe miejsce, zgodnie z powiedzeniem Hölderlina, że „najważniejszy jest promień, który nowonarodzonego wita”. Ta ścisła zależność między przestrzenią a podmiotem, jaki się w tej interakcji wytwarza, opowiedziana jest wspaniałym, bogatym językiem, w którym Siwczyk-poeta harmonijnie współbrzmi z Siwczykiem-eseistą. W kategorii „Poezja” nagrodziliśmy Michała Sobola za tom „Schrony”.

NAGRODA
LITERACKA
GDYNIA



TYGODNIK
POWSZECHNY

Nr 38/2017
Dodatek
„Tygodnika Powszechnego”
Redakcja:
Michał Sowiński

Poezja metafizyczna to dziś rzadki okaz, niemal wymarły poetycki dodatek. Wydawałoby się, że już nie uda się tego gatunku ożywić, że na zawsze pozostanie w szklanej gablocie z barokowego gabinetu osobliwości, aż tu nagle zdarza się niemożliwe: poezja późnonowoczesna, która upodobała sobie ciemne korytarze prywatności, otwiera się na przestwór i całe uniwersum czyni sobie domem. W kategorii „Proza” z kolei zwyciężyła debiutantka, Salcia Hałas, która uwiodła nas bezpretensjonalnością i poczuciem humoru, pokazując, że życie na miarę literatury można wieść także na zwykłym polskim blokowisku – a może zwłaszcza tam. Krytycy już wieszczą, że narodziła nam się nowa Masłowska, ale to porównanie, choć bardzo pochlebne, jest jednocześnie chybione: Hałas mówi od początku własnym głosem! Najmniejszym zaskoczeniem jest wygrana Ryszarda Engelkinga w kategorii „Przekład” za nowe tłumaczenie kolejnej książki Gustave’a Flauberta, czyli „Szkoły uczuć”. Nowelizacja przekładu to skomplikowany problem, który Engelkingowi udało się znakomicie rozwiązać: dzięki jego wysiłkom dzieło Flauberta, przedstawione teraz w nowszej polszczyźnie, czyta się jak książkę współczesną – a taka właśnie powinna być każda niestarzejąca się klasyka. ©

Przewodnicząca Kapituły Nagrody
Literackiej GDYNIA
AGATA BIELIK-ROBSON



Nagroda Literacka GDYNIA została powołana do życia w 2006 r. przez prezydenta Gdyni Wojciecha Szczurka w celu uhonorowania wyjątkowych osiągnięć żyjących polskich twórców. Jest przyznawana rokrocznie autorom najlepszych książek wydanych w poprzednim roku. Nagroda – Gdyńska Kostka Literacka i 50 tys. złotych – przyznawana jest w czterech kategoriach: Esej, Poezja, Proza, Przekład na język polski. NLG jest inicjatywą władz miasta, skierowaną zarówno do polskich pisarzy, jak i szerokiego grona odbiorców współczesnej literatury.

Kapituła Nagrody: Agata Bielik-Robson (przewodnicząca), Marek Bieńczyk, Jacek Guttorow, Jerzy Jarniewicz, Zbigniew Kruszyński, Małgorzata Łukasiewicz, Aleksander Nawarecki. Więcej informacji: www.nagrodaliterackagdynia.pl



Szczoteczka do zębów

ZOFIA KRÓL

Należałoby sobie życzyć, żeby zamawianie książek eseistycznych o miastach u miejscowych poetów, szczególnie tak skupionych na języku, stało się powszechnym zwyczajem.

Koło miejsca” składa się z czterdziestu jeden fragmentów wydrukowanych w wąskich kolumnach na śliskim papierze. We fragmencie trzydziestym piątym Krzysztof Siwczyk porzuca na chwilę stale obecną w tkance eseju autorefleksję na temat pisania literatury i skupia się na jej czytaniu. Przywołuje dzieła ze swojej biblioteki, do których lubi powracać – choć dziś to już nie ich bohaterowie są ważni, ale „specyficzna melodia narracji”, sam język. „Ulotnił się gdzieś ten zapach, który odpowiadał za traktowanie lektury jak podstawowej czynności fizjologicznej”. W życiu wielu czytelników następuje taki moment – wiąże się on z wychodzeniem z okresu dzieciństwa czy młodości, niekiedy z początkiem zawodowych związków z literaturą. Do tamtej, naiwnej przyjemności czytania niezwykle trudno powrócić. Wymaga ona specyficznego stanu świadomości, który Siwczyk chwilę wcześniej nazywa „stanem świadomości zero”.

Trawa odrosła, piłka plażowa leży w kącie ogrodu – „stan zero” polega na wyzbyciu się nadmiernych ambicji, nastawieniu na percepcję. Tyle że u Siwczyka, inaczej niż u wielu innych pisarzy, to przeciwieństwo stanu, w którym powstaje literatura. Opis tej krótkiej chwili obserwacji jest tylko jednym z uroczych oszustw, którymi mamy nas piszący tym razem prozą poeta. Jego fraza jest tak szczególnie wypełniona mieszaną sensów, słowa tak ściśle przylegają do siebie i tak gęsto powołują do istnienia kolejne, że na odbicie świata nie ma tu już miejsca. Podmiot tych rozważań nieustająco wydobywa z gestwiny kolejne światy, w każdym prawie akapicie wyobraźnia odnajduje nowy kierunek, rozpedzona machina języka zamienia się w perpetuum mobile. Wyhamowanie byłoby zapewne w ogóle niemożliwe, gdyby nie wieńczący całość wiersz – fraza zwalnia dopiero w dobrze sobie znanym otoczeniu.

„Koło miejsca” powstało z inspiracji Muzeum w Gliwicach, i to właśnie Gliwice, rodzinne miasto poety, są tu punktem wyjścia. Już jednak w drugim zdaniu autor ostrzega, że pisanie o miejscu – przestrzeni dzieciństwa – to złudzenie: „Pamięć o miejscu, mieście, okazuje się rodzajem fałszywego ozna-



BOGNA KOCUMBAS / NIG

kowania pola absolutnej fikcji. Im bardziej sugestywnie i zmysłowo przywołujemy znaki czasu minionego, tym mniej mówią nam one o niedysyjszej rzeczywistości miejsc i miast”. Gliwicka rzeczywistość jest tu zatem raczej mitem niż mimetycznym punktem odniesienia. Ciekawy szczegółów tego świata czytelnik znajdzie szereg istotnych symboli, kontekstów, wypatrzy błąd zarysowany, ukryty pod grubą warstwą słów szkic. Esejowi towarzyszą gliwickie zdjęcia Michała Łuczaka, zatytułowane „Elementarz” i dołączone jako osobna całość, otwierana z drugiej strony tomiku. Wśród kontekstów literackich najsilniejsza jest postać Tadeusza Różewicza. Krzysztof Siwczyk na rozmaite sposoby odmienia pamięć o poecie, warianty jego obecności, przywołuje go jako świadka gliwickiego życia i jako jego współtwórcę. Zamieszcza kilka wierszy, wplatając

je w strukturę własnego eseju. Pojawiają się tu m.in., także związani z Gliwicami, Adam Zagajewski i Julian Kornhauser. Okruchy przeszłego życia literackiego mieszają się w odpowiednich proporcjach z przeszłością autora. „Miasto długo używało mi swojej nieistotności” – zaczyna się fragment trzeci. Należałoby sobie życzyć, żeby zamawianie książek eseistycznych o miastach u miejscowych poetów – nawet, a może tym bardziej, jeśli ci poeci bardziej niż na mieście skupiają się na samym języku – stało się powszechnym zwyczajem.

Pragnienie własnej nieistotności powraca we wspaniałej łaźienkowej scenie: ojciec, podmiot eseju o temacie postawionym, sprytnie „koło” miejsca, płucze zęby, wydając z siebie odgłosy indora, córka ze szczoteczka w ustach naśladuje jego gesty. W tym naśladownictwie ojciec szuka ratunku, ponownego schronienia w przytulnej nieistotności. Żaden gest, żaden poranny rytuał nie jest prawdziwie własny, stanowi tylko powtórzenie gestów poprzednich pokoleń i zostanie przez następne ponownie powtórzone. W tym korowodzie gubi się przekonanie o własnej wyjątkowości, a wraz z nim poranna depresja. „Uratowany przez dziecięcą szczoteczka do zębów” wzdycha z ulgą i przechodzi do kolejnej budwy. „Wszystko z czasem staje się pretekstem do budowania metafor”. ©



Krzysztof Siwczyk,
„KOŁO MIEJSCA /
ELEMENTARZ”,
zdjęcia Michał Łuczak,
Muzeum w Gliwicach
Gliwice 2016

ZOFIA KRÓL (ur. 1980) jest redaktorką naczelną i szefową działu literatury magazynu „Dwutygodnik”. Krytyczka literacka, literaturoznawczyni, doktor filozofii. Autorka książki „Powrót do świata. Dzieje uwagi w filozofii i literaturze XX wieku” (2013). Pisała do „Gazety Wyborczej”, „Tygodnika Powszechnego”, „Zeszytów Literackich” i „Kontekstów”.



Kątem oka

MACIEJ JAKUBOWIAK

Poezja Sobola sytuuje się w niejednoznacznym miejscu, z którego obserwuje się warunki, na jakich istnieje świat, wciąż jednak pozostając z nim w kontakcie.

Raz wprawiona w ruch maszyna poetyckiego myślenia – takiego, które za materię bierze pojęcia nie czyste, lecz wcielone w zmysłowy język – nie zatrzymuje się tak łatwo. „Schrony” Michała Sobola – piąty tom poety mieszkałego w Zabierzowie Bocheńskim, wyróżnionego dotychczas m.in. Nagrodą im. Kazimierzy Iłakowiczówny za debiutanckie „Lamentacje” (2001), nominacją do Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej za zbiór „Pulsary” (2014) oraz Nagrodą im. Zbigniewa Herberta (2016) – rozgrywa się w ruchu między obecnością a nieobecnością; między tym, co narzuca się samo, a tym, co wymaga uważnego podążania za niejednoznacznymi śladami.

To, „co naprawdę ważne, / (...) nie znalazło miejsca w oficjalnych raportach” – sugeruje wiersz „Restauracje”, a „Banki” dopowiadają, że „czujemy się bezpieczniej, odkąd // w wykutych w szwajcarskich Alpach bunkrach złożono / to słynne złoto. Klient banku nie musi o nie pytać”. W ontologii Sobola podstawę tego, co jest, stanowi to, czego nie ma; ale w konsekwencji to drugie staje się obecne nawet bardziej, podczas gdy rzeczy pozornie oczywiste tracą swoją wagę.

Zresztą tego rodzaju dialektyka funkcjonuje na wielu innych poziomach i obejmuje kwestię prawdy (która – jak we „Wtajemniczeniu” – staje się przedmiotem zwątpienia, kiedy okazuje się zbyt oczywista), relację między działalnością ludzką a przyrodą (włączającą – jak w „Puszczy Jodłowej” – tych, którzy usiłują nad nią zapanować, w swój bezosobowy proces), a nawet czas, który potrafi być jednocześnie teraźniejszy i przeszły, historyczny i geologiczny (jak w „Kościołach”: „Chłodne mury kościołów wciąż jeszcze pamiętają o jurajskich / praczątkach”).

Ta dynamika sprzeczności dostrzegalna jest również w kompozycji obszerne go tomu. Narracyjne, niemal prozatorskie utwory, charakteryzujące się typową dla Sobola długą, dygresyjną frazą, kontrapunktowane są cyklem ściśle sformalizowanych oktywach, od których pochodzi tytuł całej książki. Składnią opisywane przez poetę „schrony”: kościoły, sądy, piwnice, urzę-



BOGNA KOCUMBAS / NLG

dy pracy, cmentarze czy koszary – nieszczęśliwie dają się skojarzyć z bezpieczeństwem czy izolacją. Bliżej im do figur jednoczesnego poszukiwania przestrzeni zamkniętej i wystawienia na widok publiczny, tak jakby jedno nieuchronnie wywoływało drugie.

Autor „Schronów” daleki jest od tego nurtu poezji współczesnej, który skupia się na krytycznym analizowaniu języka. Nie oznacza to jednak, że Sobol jest tradycjonalistą. Inaczej po prostu wyznacza swój obszar aktualności, która obejmuje nie tyle dekady, ile stulecia, a produktywną poetycko nieufność sytuuje raczej na poziomie konstruowanych obrazów niż struktur składniowych. Sobol pisze o przyrodzie, konstruuje poetycką wersję własnej biografii, ale sięga również do historii sztuki („Claude Lorrain”, „Pontormo”, „Bereś”, „Sznyty”); w jednym miejscu przywołuje Leśmiana, w innym – Pindara. To po-

ezja długiego trwania. A choć nie brakuje tu również gorzkich obserwacji („Szkic węglem”), to rzeczywistość okazuje się raczej zagadką do rozwikłania (jak w świetnym wierszu „Gąsior i zając”) niż dobrze rozpoznanym przedmiotem oceny.

W laudacji towarzyszącej przyznaniu Nagrody Literackiej Gdynia przewodnicząca kapituły Agata Bielik-Robson mówiła o odnawianiu przez Sobola formuły poezji metafizycznej. Taka charakterystyka jest celna, ale wyłącznie pod warunkiem, że uwzględnimy się dwuznaczność wpisana w samo pojęcie metafizyki – tego, co poprzedza materię, ale i jest z nią nierozdzielnie związane. Poezja Sobola sytuuje się gdzieś w niejednoznacznym miejscu, z którego obserwuje się warunki, na jakich istnieje świat, ale nie traci się z nim jeszcze kontaktu. Poety nie interesują ustalone formuły opisu rzeczywistości ani dogmaty, czy to filozoficzne, czy religijne. Jeśli je wykorzystuje, to tylko jako materiał do wytwarzania własnych herezji („Genesis” czy przewrotnie przepisujący historyczną anegdotę „Ludwik”).

Podczas spotkania z publicznością już po otrzymaniu nagrody Sobol mówił o tym, że w jego wierszach najważniejsze może okazać się to, czego w nich nie ma; że jeśli przybliżają one rzeczywistość, to tylko odwracając naszą uwagę od spowszedniałych obrazów i pozwalając na to, by świat ukazał się nam na nowo – jak podczas nocnych obserwacji nieba – w kącie oka. ©



Michał Sobol,
„SCHRONY”,
Nisza,
Warszawa 2016

MACIEJ JAKUBOWIAK (ur. 1987) jest literaturoznawcą, krytykiem, redaktorem magazynu „Dwutygodnik”. Autor książki „Nieuchronny plagiat” (2017). Weganin, żona, dwa psy, pochodzi z Żor, mieszka w Krakowie.



Falowiec w deszczu

MICHAŁ SOWIŃSKI

Czytelnik Hałas zostaje zanurzony w wyważonym i hipnotycznie powtarzalnym języku powieści – absorbuje go i wykorzystuje do percypowania świata w nowy sposób.

Zimno, pada i ponuro. Do tego nieustannie wieje. Dwie kobiety stoją pod osiedlową Żabką i palą mentolowe papierosy. I rozmawiają. O pracy, o pogodzie, o promocjach w Rosmanie. I o mężczyznach, którzy niby są w ich życiu, ale właściwie jakby ich nie było. Wymiana zdań przebiega powoli, jakby od niechcienia, ale też wiele słów połyka wiatr, więc zdania gubią swój sens. I tak przez całą książkę – sporych (szczególnie jak na debiut) rozmiarów. Nuda? Wprost przeciwnie!

Salcia Hałas w „Pieczeni dla Amfy” zabiera nas w fascynującą podróż w uniwersum gdańskiego blokowiska, gdzie ciasną przestrzeń wyznaczają sieciowe sklepy spożywcze, pralnia dywanów oraz Falowiec, czyli najdłuższy budynek mieszkalny w Polsce. Z pozoru nic się tu nie dzieje, fabuła co rusz grzęźnie w pośniewowym błocie, a historie opowiedane przez główne bohaterki urywają się w połowie, gdy czas już kończyć przerwę na papierosa. Stupor i stagnacja są jednak pozorne, gdyż powieść aż buzuje od stylistycznego fermentu i wybuchowych połączeń. Hałas, obdarzona absolutnym słuchem literackim, z maestrią konstruuje język, którym nie tylko komunikują się jej bohaterki, ale z którego zbudowany jest świat jej powieści. To język będący melanzem osiedlowego slangu, medialnej nowomowy, popkulturowych wtętości i literackiej polszczyzny z najwyższej półki. Krótkie, dobitne zdania, często rozbite na osobne akapity, co w efekcie daje niemalże wrażenie obcowania z poezją, nadają tej prozie rzadko spotykany rytm i dynamikę. Podczas spotkania w Gdyni autorka przyznała się, że jej powieść początkowo powstawała w formie smsów (nie wiadomości wysyłanych przez popularne dziś komunikatory, tylko wiadomości, gdzie opłata jest naliczana w zależności od liczby przesyłanych znaków), co w bardzo znaczący sposób wpłynęło na zwięźłość stylu. Z jednej strony oszczędność i ważenie słowa, z drugiej rozwlekłość i hipnotyczna powtarzalność „Pieczeni dla Amfy” sprawiają, że czytelnik głęboko zanurza się w język powieści – absorbuje go i zaczyna wykorzystywać do percypowania świata w nowy sposób.



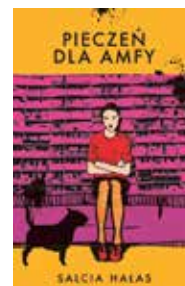
BOGNA KOCLUMBAS / NIG

Jednak o sile tej prozy decyduje nie tylko fakt, że Hałas udało się podsłuchać rzeczywistość, a potem w tak oryginalny sposób odcisnąć ją w literackiej materii. To przede wszystkim niezwykła (choć w warstwie fabularnej do bólu przewidywalna) historia dwóch kobiet, których życie nie rozpieszczęło, ale jednak ostatecznie nie pozbawiło nadziei na choćby niewielką poprawę swojego losu. Elwirka i Maria, pod wpływem kursu samorozwoju osobistego sfinansowanego za pieniądze unijne, próbują wymyślić bajkę, dzięki której lepiej będą mogły wyrazić swoje emocje i potrzeby. Ich bohaterka, która początkowo miała być księżniczką, mieszkającą w pięknym domu z wysoką wieżą (w Sopocie), szybko upodabnia się do swoich kreatorów: osiedla się w Falowcu (ale na najwyższym piętrze), zmaga się z oporem szarej materii codzienności i marzy o mężczyźnie, który będzie chociaż odrobinę inny niż ci, którzy całe dnie spędzają pod osiedlową Żabką.

Hałas, choć sama dystansuje się od przypisywania jej jednej wyrazistej ideologii,

napisała być może najciekawszą książkę feministyczną ostatnich lat, w której kobiety są postaciami niezwykle silnymi, świadomymi swoich potrzeb, ale też pozbawionymi kompleksów. Jednocześnie zwiążki z mężczyznami, w które się wplątują, są dla nich balastem, gdyż drenują je psychicznie i emocjonalnie. Elwirka od lat żyje z Łysym – zramolałym, pozbawionym ambicji i wdzięku emocjonalnym troglodytą, z kolei Maria spotyka pełnego uroku, sypiącego jak z rękawa romantycznymi gestami Czarka, który jednak szybko okazuje się egocentrycznym alkoholikiem, wykorzystującym kobiety jako protezy swoich psychicznych niedoborów. Jak stwierdziła Hałas, te dwie postaci to tak naprawdę awers i rewers tej samej monety, czyli mężczyzny, który nie jest w stanie wykrzesać nawet odrobiny empatii względem swojej partnerki.

„Pieczeń dla Amfy” nie daje gotowych rozwiązań, nie jest w klasycznym sensie (czyli nudną i mało skuteczną) powieścią społecznie zaangażowaną. Niesie za to olbrzymi potencjał, gdyż nie tylko diagnozuje wiele problemów, ale przede wszystkim dostarcza nowego języka dla ich opisu. Hałas zdobywa (a czasem odzyskuje) dla literatury przestrzenie, które do tej pory pozostawały w cieniu, gdyż uznawane były za banalne bądź nieistotne. Zapuszcza się w zakamarki blokowiska, aby wrócić z nich z genialnymi opowieściami o bólu, samotności, tęsknocie. I, co chyba najważniejsze, o nadziei. ©



Salcia Hałas,
„PIECZEŃ DLA AMFY”,
Muza,
Warszawa 2016

MICHAŁ SOWIŃSKI (ur. 1987) jest redaktorem literackim Conrad Festival. Krytyk literacki, doktorant na Wydziale Polonistyki UJ, stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.



Gramatyka i widzenie rzeczy

TOMASZ SWOBODA

Spolszczenia utworów Flauberta może się podjąć tylko ktoś, kto wszystkie niuansy gramatyczne (a nawet interpunkcyjne) słyszy i traktuje z podobną pieczołowitością, co sam autor.

Flaubert pisał „Szkolę uczyć” przez 56 miesięcy, zaczerniając około pięciu tysięcy kartek brulionów. W czasie tych żmudnych przygotowań sporządził niezliczoną liczbę notatek, sięgając do artykułów prasowych z epoki – zwłaszcza z roku 1848, kiedy Francja na powrót stawała się republiką, i z roku 1851, kiedy okazało się, że stała się nią tylko na chwilę.

Gdyby ktoś na podstawie tych danych spodziewał się wielotomowego historycznego fresku z mnóstwem wydarzeń i politycznych *coups de théâtre*, poważnie by się mylił. Nie taki był cel Flauberta. Na dobrą sprawę, gdyby chciał, wydarzenia mógłby odtworzyć z pamięci: kiedy pisał swoją powieść, dzieliło go od nich ledwie kilkanaście lat. „Szkolę uczyć” nie spełnia więc warunków z najbardziej rozpowszechnionej definicji powieści o wydarzeniach sprzed narodzin autora. Jeśli Flaubert sięga po gazety z połowy wieku, to czyni to głównie po to, by – swoim zwyczajem – szukać w nich komunałów i językowych śladów ludzkiej głupoty. Pisząc o roku 1848, sięga głównie do czasopism pravicowych; o sytuacji trzy lata później opowiada raczej z perspektywy lewicy. Wsłuchuje się w głos przegranych.

Ale przegrany jest u Flauberta niemal każdy. Kto czytał „Panią Bovary”, pamięta tragedię właściwie wszystkich głównych bohaterów. Nawet ostatnie zdanie powieści – „Właśnie dostał krzyż Legii” – informujące o triumfie aptekarza Homais’go, oznacza klęskę uczciwości i przyzwoitości. W „Szkole uczyć” Flaubert jest chyba jeszcze bardziej bezlitosny. Ostrze jego ironii nie oszczędza nikogo, od Fryderyka i pani Arnoux po postaci, których nie zdążymy nawet dobrze poznać, a już wiemy, że poznać ich byśmy nie chcieli. A jeśli już kogoś polubimy, takiego dajmy na to Dussardiera, to oczywiście musimy przyglądać się jego życiowym porażkom.

Bohaterów Flauberta można jednak nazywać antybohaterami również w sensie czy-



Catherine Rouvel i Jean-Pierre Léaud w serialu telewizyjnym „Szkolę uczyć” według powieści Gustava Flauberta, 1973.

sto literackim: rzadko kiedy posiadają wyraziste rysy, czy to fizyczne, czy to psychologiczne, raczej poddają się biegowi wydarzeń, niż stają się ich podmiotem. Nie sposób się z nimi utożsamić – nie tylko dlatego, że budzą głównie naszą odrazę i współczucie, ale dlatego, że nie pozwala nam na to Flaubertowska narracja. Wycofanie tradycyjnego narratora wszechwiedzącego nie oznacza w „Szkole uczyć” opowiadania z perspektywy postaci – czytelnik raczej patrzy jej przez ramię, jak w XX-wiecznej prozie Faulknera czy Camusa. Bo też z literaturoznawczej perspektywy Flaubertowi bliżej do nich niż do Balzaka czy Stendhala.

Tak, chcąc przekonać do wielkości tej książki, trudno uniknąć wchodzenia w teoretyczne, techniczne czy gramatyczne szczegóły. Właśnie tam bowiem rozgrywają się rzeczy najciekawsze – tam rozgrywa się właściwa akcja „Szkolę uczyć”. Proust powie o Flaubercie, że użyciem gramatyki odnowił nasze widzenie rzeczy. Czym dokładnie? Użyciem czasu przeszłego niedokonanego, trybu przypuszczającego, spójnika i średnika. To nie żarty. Delikatne rozchwiewanie skostniałej od dobrych dwóch stuleci francuskiej składni to

już nie byle co. Zaprzągnięcie jej na usługi wszechobecnej ironii – to istny pisarski majstersztyk.

Dlatego spolszczenia tych utworów może się podjąć tylko ktoś, kto wszystkie te niuansy usłyszy i podejdzie do nich z podobną pieczołowitością, jak sam autor. W rozmowie z Zofią Zaleską tłumacz „Szkolę uczyć” zwraca uwagę, że „w przypadku tłumaczenia tekstów Flauberta odwołanie sensu to zdecydowanie za mało, trzeba starać się oddać piękno tej prozy, a ono kryje się w technice – w rytmie i melodii zdania, w liczbie sylab, w użyciu spójników, powtórzeniach, czasach gramatycznych itd.”. Wcześniejszym tłumaczom tej powieści – Tadeuszowi Jakubowiczowi i Anieli Micińskiej – trudno zarzucić jakieś poważne błędy, a w każdym razie nie ma ich zbyt wiele. Ale dopiero w przekładzie Ryszarda Engelkinga – któremu zawdzięczamy też nowe tłumaczenie „Pani Bovary”, jak również doskonałe przekłady Baudelaire’a, Rétifa de La Bretonne’a czy „Ewy jutra” Villiersa de L’Isle-Adam – niektóre fragmenty powieści brzmią jak poematy prozą, inne zaś obnażają głupotę bohaterów, wkładając w ich usta stek frazesów. Bo głupotę lepiej słyszeć, niż widzieć. ©



Gustave Flaubert,
„SZKOŁA UCZYĆ”,
przeł. Ryszard
Engelking,
Sic!,
Warszawa 2016

TOMASZ SWOBODA (ur. 1977) jest tłumaczem i krytykiem przekładu, autorem książek „To jeszcze nie koniec?” i „Historie oka. Bataille, Leiris, Artaud, Blanchot”. Tłumaczył na polski m.in. Baudelaire’a, Sartre’a, Barthes’a, Derridę, Foucaulta. Laureat Nagrody „Literatury na Świecie”.